Nr. 2. Warszawa, d. 16 Stycznia 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYSLIWSKI.

W styczniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, kuropatwy, kaczki, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne.

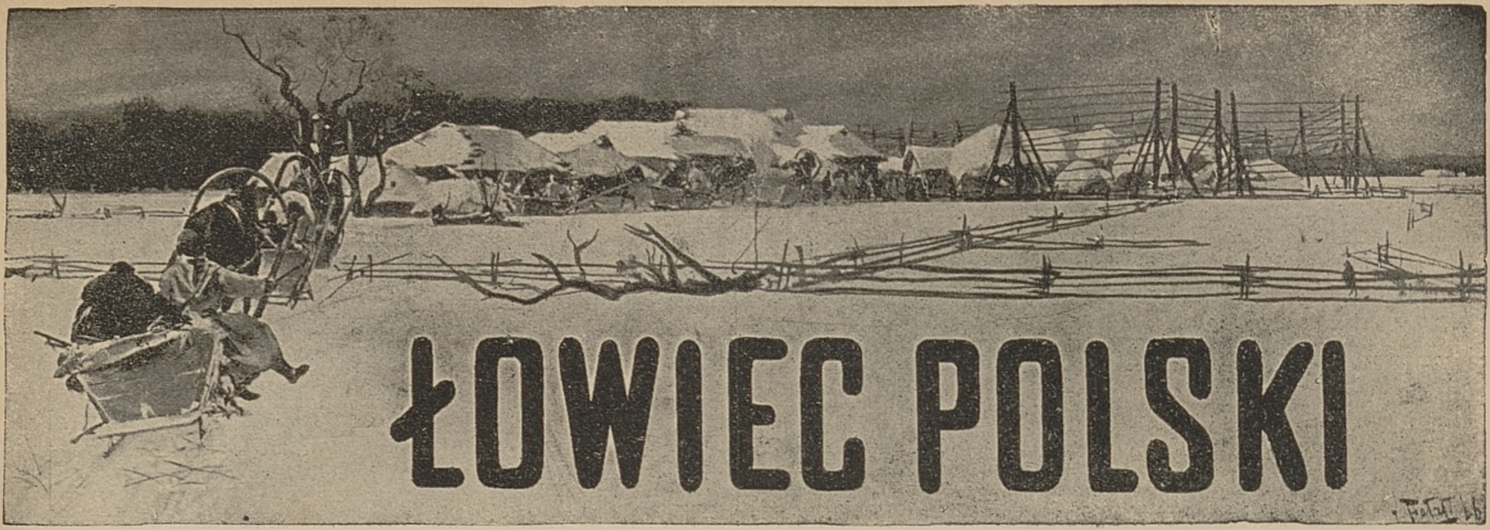
Lunacya w styczniu.

Pełnia d. 18 o g. 3 po poł.
Ostat. kw. d. 26 o g. 4 po poł.

Wschód i Zachód Słońca

w styczniu.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	8	6	4	14
17	8	5	4	16
18	8	4	4	18
19	8	3	4	19
20	8	2	4	20
21	8	1	4	22
22	7	59	4	24
23	7	58	4	26
24	7	56	4	28
25	7	55	4	30
26	7	53	4	32
27	7	52	4	33
28	7	51	4	36
29	7	49	4	39
30	7	47	4	41
31	7	55		44



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 212.

Nr. 2.	Warszawa, d. 16 stycznia 1908 r. Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	Rok X.



SROGA ZIMA.

ŁOŚ.

(Ciąg dalszy).

W połowie sierpnia, gdy u większości samców rogi stwardnieją dostatecznie i opadnie porastająca je szerść, zaczyna się „wab“ czyli ruja, zwana też rykowiskiem, niewłaściwie jednak, ponieważ głos, wydawany przez łosia w zapale miłosnym, nic nie ma wspólnego z rykiem. Ruja trwa blizko miesiąc, dosięgając punktu kulminacyjnego w końcu sierpnia, a słabnąc lub całkiem się przerywając wraz z pierwszymi jesiennymi przymrozkami, które w mińskiej gub. wypadają zwykle w połowie września*).

Gdy słońce zajdzie, łoś opuszcza gęstwinę, w której spędził dzień, i dąży na brzeg najbliższej leśnej polany, łączki lub wreszcie poręby i tu rozpoczyna swój koncert wieczorny, z początku jakby nieśmiało, nasłuchując ciągle i przechodząc z miejsca na miejsce, lecz powli nabiera werwy i, gdy zorza zaczyna dogasać na zachodzie, głośnem stękaniem wyzywa na bój przeciwników, waląc rogami w pnie drzew i druzgocąc krzaki. Krótkie, głuche i jakieś niepokojące dźwięki coraz częściej następują po sobie, przechodzą wreszcie w żałosny, przeciągły i wibrujący odgłos, pośredni między beczeniem kozy a końskiem rżeniem. Oznacza to, że łoś doszedł do najwyższego rozdrażnienia; gdy w chwili tej posłyszy on odpowiedź przeciwnika, pędzi ku niemu naoślep i z wściekłością rozpoczyna walkę, kończącą się dla słabszego z zapaśników ciężkiemi ranami, jeżeli w porę nie opuści placu boju. Najczęściej jednak jedyną odpowiedzią na to gniewne wyzwanie bywa niezmącona cisza jesiennego wieczoru. Nastękawszy się dowoli, łoś robi dłuższą przerwę, kończącą się zwykle nadzwyczaj głośnem sapnięciem czy też parsknięciem, które w cichy wieczór słychać bardzo daleko, niekiedy na parę wiorst, podczas gdy właściwy wab czyli stękanie usłyszeć można zaledwie z odległości kilkuset kroków. W widne, księżycowe noce łosie wabią się od zachodu do wschodu słońca bez przerwy, bywa to jednak tylko w końcu sierpnia i na początku września, to jest w najbardziej ożywionym okresie rui, zwykle zaś następuje koło północy kilkogodzinna przerwa. Im dzikszą jest miejscowość i łosie mniej niepokojone, tem wcześniej zaczyna się, a później kończy się wab, zdarza się nawet słyszeć stękanie w ciągu dnia. Powiadają, że w kniejach, obfitujących w wilki, łosie podczas rui nie wydają żadnego głosu, czując obecność tych drapieżników i obawiając się ich napadu; wiadomą jest zresztą rzeczą, iż najstraszniejszy ten po człowieku wróg łosia nie zawha się, będąc w większej liczbie, napaść nawet na dorosłego samca, co prawda, nie zawsze z powodzeniem, gdyż łoś potrafi się bronić. Pomiędzy poleskimi myśliwymi krąży niezbyt prawdopodobna legenda, że niedźwiedź potrafi naśladować stękanie łosia i, używając tego fortelu, przywabia do siebie nieopatrzne zwierzę i rozprawia się z nim po swojemu. Ile jest w tem prawdy, nie wiem, w każdym razie dowodziłoby to o niepospolitym rozumie tego napozór ociężałego drapieżnika naszych lasów.

Spotkawszy w ciągłych swych wędrówkach łoszę, byk przyłącza się do niej i dotąd jej towarzyszy, dopóki nie odpędzi go silniejszy rywal; tu zwykle starsze łosie stają się panami położenia, zdarza się jednak, że nawet stary i silny „łopatacz“ musi ustąpić przed znacznie słabszym od niego śpiczakiem, tak ciężkie i bolesne rany zadają jego ostre, naprzód zwrócone różki. Bywa, że za jedną łoszą chodzą przez dłuższy czas dwa albo trzy byki, dopóki decydująca walka nie rozstrzygnie ich losu. Cielęta przez cały czas rui trzymają się przy matkach.

Każdy łoś obiera sobie pewien ostęp, zajmujący kilka wiorst kwadratowych, w którego granicach trzyma się, o ile nie zostanie spłoszonym, przez cały czas trwania rui, wychodząc wieczorami na ulubione przez siebie miejsca na nocne koncerty; miejsca te, położone zwykle na brzegach leśnych łączek, porosłych rzadkimi krzaczkami, lub gdzieś nad wodą, łatwo poznać po „zakopach“, czyli głębokich dołach, które łoś, przez długi czas stękając na jednem miejscu, wybija racicami, a także po połamanych w pobliżu krzakach i poskręcanych rogami gałęziach. Wprawny myśliwy pozna po grubości połamanych gałęzi i po wielkości śladów, odciśniętych na zakopach, wiek łosia i, przekonawszy się, że ma do czynienia z grubą sztuką, nie omieszka złożyć mu wizyty tego samego wieczoru.

Polowanie na łosia na wab należy do najprzyjemniejszych i licznych znajduje zwolenników wśród czcicieli świętego Huberta; ilością wywieranych na myśliwego wrażeń i urokiem otoczenia współzawodniczyć z niem może chyba jedno tylko wiosenne polowanie na głuszce podczas toku. Martwa i głucha jesienna noc, wysrebrzona poświatą miesiąca, fantastyczna sylwetka

*) Wszystkie daty podane są według starego stylu.

CONTO „P.“

PSIA HUMORESKA

A. WACLAWIKA.

(Z czeskiego)

— Słuchaj, chciałabym mieć psa — mówiła pani Berta, spoglądając na męża zarazem błagalnie i wyzywająco.

Doktór Burger odłożył na bok pióro; człowiek o dobrym słuchu stwierdziłby, że doktór wtenczas lekko westchnął.

— Przecież to chyba skromna prośba — rzekła dalej żona.

— Zapewne — odparł wymijająco doktór, który absolutnie nie wiedział, czego ona pragnie, ponieważ zajęty pracą, nie dosłyszał życzenia małżonki.

— Nie chodzi naturalnie koniecznie o zwierzę rasowe — ciągnęła dalej pani Berta.

— A czy mamy jeszcze starą klatkę? — zapytywał doktór, który z jakiejś niejasnej przyczyny myślał o kanarku.

— A cóż ma wspólnego klatka z psem? — z pewnem zdumieniem dowiadywała się pani domu.

— Nic, nic oczywiście — pośpieszył małżonek ją uspokoić — tak jakoś mi to na myśl przyszło.

Pani Berta rzuciła na męża jedno z tych spojrzeń, które go zwykle odrazu ściągnęły z wyżyn transcendentalnych do realnej rzeczywistości.

— Jakiego psa pragniesz mieć? — zapytywał, teraz już zupełnie do rzeczy.

— Rattlera lub szpica, te kosztują najtaniej.

— Moja droga, koszta nabycia są w każdym sporcie najmniejsze, — odważył się wystąpić doktór.

Pani Berta roześmiała się szyderczo:

— Nie będziesz chyba twierdził, że utrzymanie rattlera zrujnuje nas majątkowo.

— Nie zrujnuje, ale...

— Powiedz lepiej odrazu, że mi żałujesz tej niewinnej przyjemności, — zaczęła się dąsać żona.

Sytuacya stała się krytyczną. Doktór wiedział, że gdy pani Berta zaczyna się dąsać, to następuje długi rejestr niespełnionych życzeń, które są oczywistym dowodem, iż jest ona istotą godną współczucia i mającą wszelkie powody do ubolewania nad swem zamąężpójściem. Ponieważ zaprzeczeniem tego twierdzenia mogłoby być jedynie sprawienie jakiejś nowej toalety, przeto doktór,

łosia, jak mara, przesuwając się na tle dzikiego krajobrazu, wreszcie te ciche, lecz wstrząsające dźwięki, co nakształt skarg i jęków płyną nad moczarami, zdolne są u najbardziej zimnokrwistego człowieka wywołać przyśpieszone bicie serca, każąc mu zapomnieć o wszystkiem na świecie.

Ażeby polowanie na wab się udało, trzeba dobrze umieć wabić, ewentualnie mieć dobrego wabiarza. Na Polesiu istnieją specyaliści, rekrutujący się przeważnie z pośród leśników i zawodowych strzelców, którzy, znając w najdrobniejszych szczegółach zwyczaje łosi, po mistrzowsku potrafią je wabić i bywają nieocenionymi pomocnikami na tego rodzaju polowaniach. Ludzie ci w porze łosiowej rui są rozchwytywani przez zamożnych myśliwych, i pobierając niekiedy dość wysokie honorarya. Myśliwy, a często całe grono myśliwych, gdy nadejdzie odpowiednia pora, udaje się z zapasami żywności i amunicyi na kilka dni w głąb lasów, rozkładając się obozem gdzieś nad brzegiem rzeczki lub leśnego strumyka, albo wreszcie w zaginionej wśród bagien, poleskiej wiosce. Młodsi, bardziej zapaleni, wyruszają już w połowie sierpnia, korzystając z otwarcia polowania (prawo dozwala polować na łosie od 15 sierpnia do 1 stycznia), większość jednak czeka końca sierpnia, trzymając się miejscowego myśliwskiego przysłowia: „Ijoan Haławasiek*) łosiu hołowu atsiek“. Dobrze jest przed wyjściem na polowanie poradzić się kalendarza i barometru, bo widne i pogodne księżycowe noce zapewniają grubo więcej szans na powodzenie wyprawy, niż pchmurne i ciemne, a tembardziej wietrzne.

Nareszcie pewnego pięknego poranku po wielu przygotowaniach i nieuniknionym w takich razach rozgardjaszu myśliwi, obładowani bezdennemi torbami, w których spoczywają przeróżne wiktuały i zapasowe ciepłe ubranie, z przewieszonymi przez plecy sztucerami, drylingami lub zwykłemi dubeltówkami i z toporkami myśliwskimi, zatkniętymi za pasy, wczesnym rankiem wyruszają do lasu, bo droga daleka, a inaczej, jak piechotą lub łódką, trudno się dostać do siedzib łosia. Gdy już miejsce na obóz zostanie obrane, sporządzają naprędce szałas z gałęzi i mchu, mający chronić od niepogody, rozpalają ogromne ognisko i zabierają się do skromnego posiłku. Wśród zajmujących opowiadań starych bywalców-leśników, przeplatanych wesołymi żartami i anegdotkami myśliwskiemi, nieznacznie spływa reszta dnia i słońce chowa się za lasy; pora iść na wab.

Myśliwy krąży po lesie, wybierając rzadsze i bardziej otwarte miejsca, w towarzystwie znającego miejscowość przewodnika, zaopatrzonego w długą trąbę z kory brzozowej. Starają się stąpać jaknajciszej i co kilkadziesiąt kroków zatrzymują się, a wabiarz naśladuje na trąbie stękanie łosia. Jeżeli jest w pobliżu łoś, to wnet odpowie na wab. Myśliwy chowa się wtedy, wybierając jaknajdogodniejsze dla strzału miejsce, a wabiarz odchodzi nieco dalej i zaczyna z trzaskiem łamać krzaki i stękać; teraz wszystko zależy od jego umiejętności, bo każdy fałszywy ton, każde nie w porę wydane stęknięcie może popsuć polowanie. Zdarza się, że łoś kłusa biegnie na wab, aż ziemia huczy pod jego racicami, i natyka się prawie na szczęśliwego strzelca, najczęściej jednak podchodzi na kilkadziesiąt kroków i staje, nasłuchując; na czystem miejscu i w widną noc strzał jest wtedy możliwym, w przeciwnym razie łoś, postawszy chwilę i nie widząc spodziewanego przeciwnika, zaczyna podejrzewać zdradę, milknie i zdaleka, skradając się, bez szmeru prawie obchodzi podejrzane miejsce i, przekonawszy się, że go oszukują, tak samo cicho się oddala; napróżno stęka wabiarz przez długie godziny a myśliwemu drętwieją nogi w niewygodnej pozycyi: łoś nie podejdzie już tej nocy, a i na przyszłość będzie ostrożniejszym. Trudno uwierzyć, jak to ogromne i ciężkie zwierzę potrafi cicho przekradać się wśród mroków nocy po zaroślach. Stary, doświadczony łoś, który nieraz bywał w opałach, nigdy nie idzie prosto na wab, a zachodzi z przeciwnej strony i zbliża się, milcząc; w takich wypadkach dobrze jest, aby wabiarz obierał sobie miejsce między łosiem, a myśliwym. Łoś widzi dobrze w nocy, a węch ma nadzwyczaj ostry: zwietrzywszy lub dojrzawszy człowieka, oddala się śpiesznie, głośno rycząc. Ryk jego jest krótki i głęboki, a tak głośny, że las cały, zda się, drga pod naporem tych dźwięków. Takim samym rykiem odpowiadają mu inne łosie, o ile są w pobliżu, i na wab już nie idą tej nocy, ostrzeżone o grożącem niebezpieczeństwie. Jedyny to wypadek, w którym łoś ryczy; podobny, lecz znacznie cichszy głos, zbliżony do głuchego kaszlu, wydaje on w innych porach roku, będąc niespokojnym: myśliwi mówią wtedy, że łoś „straszy“. Jesienny ryk w cichą noc słychać na kilka wiorst.

Bywa i tak, że łoś podejdzie na kilka kroków do myśliwego i stanie, zasłonięty krzakiem lub grubym pniem drzewa; przechodzi kwadrans, pół godziny, wresz-

*) Ścięcie św. Jana, przypadające na 29 sierpnia.

---

doświadczony, postanowił nie dopuścić do stwierdzenia tego stanu, godnego pożałowania.

— A więc dobrze, kupię psa — oświadczył, przyczem znowu możnaby było usłyszeć lekkie westchnienie.

Uchwała ta rozbroiła natychmiast małżonkę; mąż otrzymał zapewnienie, że jest porządnym człowiekiem, poczem zaopatrzono go w kapelusz i laskę i wyprawiono niezwłocznie na miasto.

Pogoda była bardzo przyjemna; ludzie gromadami szli do lasku miejskiego, by, przy dźwiękach muzyki, wypić filiżankę kawy i rozkoszować się dniem pięknym.

Doktór dał się porwać prądowi, cieszył się wraz z innymi z pięknej pogody, podziwiał szybkie zmartwychwstanie przyrody i zapomniał całkiem o celu swego wyjścia. Dopiero widok jakiegoś pana, niezbyt elegancko ubranego, który spacerował z niezbyt ładnym psem, przypomniał doktorowi zadanie, jakie ma do spełnienia. W zamyśleniu przypatrywał się psu uparcie, co natychmiast zauważył jego właściciel.

— Czy pan lubi psy? — zapytywał raptem doktora.

— Ja?—wyrwało mu się w zamieszaniu—, nie wiem doprawdy.

— Bo w danym razie mógłbym panu oddać to zwierzę — ciągnął dalej nieznajomy obojętnie — mam jeszcze kilka w domu.

Doktór był zdumiony tą wspaniałomyślnością.

— Jakto... Pan chciałby istotnie...?

Właściciel psa, zdawało się, nie usłyszał tego zapytania.

— A może pan się nie zna wcale na psach? — badał dalej, spoglądając chytrze na doktora.

— Szczerze mówiąc, nic a nic.

— Odrazu to pomyślałem — mruknął nieznajomy — w przeciwnym razie pan dawnoby już mnie nagabywał o kupno tego psa... przecież to rarytas... szpicrattler.

Doktór oniemal chciał głośno krzyknąć z radości, wydawało mu się to bowiem szczęśliwym trafem, że znalazł takie zwierzę, które jednoczy w sobie obie rasy, upragnione przez panią Bertę.

— A za ile mi pan odda psa?

Nieznajomy widocznie się wahał.

— Prawdę powiedziawszy, żartowałem tylko, proponując panu nabycie psa...

Doktór miał minę człowieka rozczarowanego.

— Jeżeli jednak pan przywiązuje do tego psa szczególną wagę, to może go pan posiąść za 100 koron.

— 100 koron? — powtórzył ze zdziwieniem doktór, który zamierzał wydać na to 5 koron.

cie godzina, długa, jak całe wieki, a łoś ani się poruszy, dopóki go nie spłoszy zniecierpliwiony myśliwy nieostrożnym ruchem, strzał zaś do uciekającego łosia, po nocy, tembardziej w gęstwinie, jest nader niepewny. Gdy dwa byki walczą ze sobą, sczepiwszy się rogami i druzgocząc młode pokolenie lasu, zapominają wtedy o ostrożności i dają się podejść bardzo blizko. Pewien leśnik opowiadał mi, że, gdy raz, nie mając przy sobie strzelby, przypatrywał się zbliska tej ciekawej walce, ledwie uszedł z życiem, zdążywszy zapaść między grube, poplątane korzenie starego klonu, tak blisko naleciał na niego rozjuszony byk w pogoni za uciekającym przeciwnikiem. Wogóle jednak łoś, w przeciwieństwie do swego syberyjskiego krewniaka, nigdy, nawet ranny, nie napada na człowieka. Znanym mi jest tylko jeden wypadek śmierci człowieka, spowodowanej przez łosia, i to wypadkowo. Mianowicie podczas polowania na wilki łoś, ruszony przez zgraję gończych, natknął się na gęsto rozstawiony łańcuch obławników, z których jednemu przyszło do głowy zawrócić pędzące zwierzę; łoś jednak, oszołomiony ciągłą kanonadą, piekielną wrzawą zbliżających się gończych i wrzaskiem obławy, stratował zastępującego mu drogę człowieka i pomknął dalej. Po paru dniach człowiek ten umarł od ran, zadanych mu ostremi racicami łosia.

J. Woyniłowicz.

(C. d. n.).

Z FRANCYI.

(Dokończenie).

Zebrawszy się wokoło dogorywającej sztuki, która okazała się bardzo pięknym, jak na francuskiego dzika — odyńcem, winszowaliśmy młodemu myśliwemu tak szczęśliwego zakończenia całej tej awantury, bo każdy z nas doskonale rozumiał, że gdyby hrabia S. nie był zatrzymał szarżującego pojedynka swą drugą kulą, byłby conajmniej silnie okaleczony, jeśli nie zabity. Przypomnieliśmy sobie podany właśnie w owym czasie w gazetach wypadek, jaki się zdarzył w Wogezach, gdzie na polowaniu raniony pojedynek zabił na miejscu jednego myśliwego, a śmiertelnie poranił—drugiego. Już pisałem niejednokrotnie, jak dziki francuskie są złośliwe i jak często polowania na pojedynki, a nawet na wycinki i maciory kończą się ciężkiem pokaleczeniem którego z uczestników polowania.

Łowy jednak dnia tego nie skończyły się opisaną powyżej awanturą. Zaraz obok, po drugiej stronie szosy, mieliśmy jeszcze otropionego wycinka, na tropy którego puszczono zaraz psy, skoro tylko pierwsze wrażenie doznanych wzruszeń minęło. Ruszony dzik pokręcił się zrazu po miocie, już zdawało się, że wytknie na jedno z trzech stanowisk, obstawionych przez hr. Branickiego, przezemnie i przez kap. Barbier'a, lecz na nieszczęście mieliśmy wiatr skośny — nieco od tyłu, więc nas widocznie ostrożny zwierz zawietrzył, bo zwrócił, przeciął miot cały i wyszedł po przeciwnej stronie stanowiskiem, przez nikogo niezajętem.

Skoro nam tylko manewr ten zasygnalizowano, wsiedliśmy czemprędzej we czterech do stojącego nieopodal breku, i zaczęła się pogoń za dzikiem, który prawie zawsze idzie wiadomymi przesmykami. Ujechaliśmy tak nie więcej, jak kilometr, gdy naraz stangret nasz zaczął rozpaczliwie krzyczeć: „Sanglier! sanglier!" Zerwaliśmy się na nogi, aby lepiej widzieć zwierza, i ze zdziwieniem ujrzeliśmy, jak dzik sadził przez szosę zaledwie na kilka metrów przed końmi. Przytomny zawsze kap. Barbier, który jeden tylko miał w strzelbie ładunki, wychylił się z breku i wypalił dwa razy w chwili, gdy dzik ginął w lesie po przeciwnej stronie.

Zbadawszy tropy i nie znalazłszy farby, ruszyliśmy szybko ku doskonałemu przesmykowi, którym dzik musiał przejść koniecznie, jeśli go tylko coś w drodze nie zwróci. Jechaliśmy szybko i już zdaleka spostrzegliśmy piqueur'a (dojeżdżacza) Louis'a, który konno, innemi drogami tam zdążał. Skręciliśmy na lewo; już nam brak tylko kilkaset metrów, aby do przesmyku dotrzeć; Louis zajął już tam stanowisko na swym koniu. Dojeżdżaliśmy już do niego i ja pierwszy wyskakiwałem z breku, kładąc szybko naboje do sztucera, gdy znów rozległo się „Sanglier! sanglier!". Barbier, znajdujący się jeszcze w breku, wygarnął znów dwa razy do dzika w chwili, gdy ten obces prawie wpadał pod konia Louis'a. I miałem wtedy widok niezwykły: środkiem szosy pędził — uciekając od nas dzik, a za nim Louis szarżował na koniu; wreszcie dzik skręcił do lasu, a wtedy ja i hr. Jan Sierakowski wypaliliśmy do niego, ale strzały mieliśmy dalekie i trudne, bo las był gęsto w tem miejscu paprociami podszyty. Wszystkie psy szły nie dalej, jak o 100 metrów za dzikiem.

Wskoczyliśmy szybko do breku i ruszyliśmy do „la Croix de l'Evangile", którędy dzik niewątpliwie będzie się starał dostać do lasu „le Coudray". Gdyśmy tam przybyli, deszcz gęsty zaczął padać. Wiatr i szum de-

---

— Naturalnie — odrzekł ów pan stanowczo — rattler kosztuje 40 koron, szpic 60 koron, co czyni razem, że szpicrattlera cena wynosi 100 koron. — Spojrzał raz jeszcze chytrze na doktora.

— Czy to tak się oblicza? — wypytywał zamyślony doktór, którego przekonała arytmetyczna zgodność tego rachunku. Przyszło mu także na myśl, że może się jeszcze ewentualnie zdarzyć pies, łączący w sobie trzy rasy, który będzie kosztował jeszcze więcej. Postanowił więc nabyć zwierzę dwurasowe, jako tańsze. Zapłacił tedy nieznajomemu 100 koron, mimo, że spodziewał się przynieść do domu 95 koron reszty; za to jednak został, według ponownego zapewnienia nieznajomego, posiadaczem niezwykłego okazu psiej rasy.

. . . .

— No, piękny to on tam nie jest — rzekła pani Berta, rzucając nieżyczliwe spojrzenie na osobliwe zwierzątko—, ale to nic nie szkodzi; jak kiedy będziemy mieli zbytecznych koron ze 40, to kupimy sobie zwierzę czystej rasy.

Doktór w tej chwili zaprzysiągł sobie w duchu, że już nigdy sam się nie wybierze na miasto, celem nabycia psa i że nigdy nie zdradzi ceny, zapłaconej za psa; ponieważ jednak miał zwyczaj zapisywać wszystkie swe wydatki, przeto skorzystał z chwili samotności, i otworzywszy pustą stronnicę w swym notatniku, zapisał tam „Conto P.", dodając setkę, jako pierwszą liczbę.

Zamykał właśnie książeczkę, gdy żona wtargnęła raptownie do pokoju.

— Słuchaj, pies uciekł!

— No, no — odezwał się doktór, patrząc zakłopotany na żonę.

— Ależ w ten sposób nie odzyskamy tego bydlęcia— burknęła nieco zirytowana małżonka—, lepiej uczynisz, schodząc na dół i przywołując...

— Ach, jaki ze mnie osioł! — wyrwało się przerażonemu doktorowi — zupełnie zapomniałem się dowiedzieć, jak pies się wabi.

— To w takim razie wywołuj wszelkie nazwy psów, to może się zwabi na jaką z nich.

(Dok. nast.).

szczu i suchych liści były tak silne, że nie słychać było ani gonu psów, ani głosu trąb myśliwskich. Staliśmy na stanowiskach pewnie blizko pół godziny, gdy nadszedł jakiś drwal i oznajmił nam, że dzik został zabity przez Louis'a. Wzięliśmy na kozła tego człowieka, aby nam do miejsca przewodniczył.

Podjechawszy brekiem, o ile możności, najbliżej, ruszyliśmy pieszo lasem i po długim, uciążliwym marszu, stanęliśmy nad brzegiem niewielkiej kałuży, gdzie leżał martwy i zesztywniały wycinek, a wkoło psy zajadle naszczekiwały. Okazało się, że dzik miał kilka loftek Barbiera — niewątpliwie z pierwszych dwóch strzałów — i dlatego iść dalej nie mógł. Gdy go Louis dojechał, rzucił się dzik na niego i o mało, że go z koniem razem nie wywrócił. Dojeżdżacz zsiadł wtedy z konia i ze swej flinty dzika zastrzelił.

Tak się zakończył ten dzień urozmaiconych łowów, który niewątpliwie należy do najpiękniejszych z pomiędzy całego szeregu montresorskich polowań.

Mówiąc o polowaniach francuskich, nie podobna jest pominąć milczeniem kłusownictwa, tak ta straszna plaga gospodarstw łowieckich jest tu rozpowszechnioną, tak dotkliwie daje się we znaki prawidłowym hodowcom. Jako przykład, przytoczyć muszę polowanie w Monpoupon u pp. de la Motte Saint-Pierre, u których hodowla kuropatw, a szczególniej bażantów stoi, jak na tutejsze okolice, bardzo wysoko. Ucieszyliśmy się też bardzo, gdyśmy dostali zaproszenie na to polowanie, gdyż z góry wiedzieliśmy, że nastrzelamy się do syta, a to tembardziej, że w projekcie było wzięcie rewiru, położonego w bezpośredniem sąsiedztwie zamku, gdzie właśnie znajdują się najlepsze mioty bażancie, gdyż tu właśnie prowadzona jest hodowla bażantów. W roku zeszłym w tym samym rewirze zabiliśmy 80 kogutów-bażantów, a przytem kilkadziesiąt kuropatw, nieco królików i zajęcy, oraz kilka słonek. Ładunków wzięliśmy przyzwoity zapas, licząc, że strzelanina będzie gęsta, bo rok bieżący był dla hodowli bażantów w całej Francyi bardzo sprzyjający.

Pierwsze mioty polne dały jeszcze niezłe rezultaty, gdyż i tu główną zwierzyną były kuropatwy, choć już tutaj uderzył nas brak zupełny bażantów, któreśmy lat poprzednich zawsze spotykali. Kompletnego jednak rozczarowania doznaliśmy, gdyśmy przeszli do miotów leśnych. Mimo że gościnny gospodarz, chcąc ratować sytuacyę, pozwolił nam strzelać do kur; mimo, żeśmy wzięli pod koniec dwa najlepsze mioty, t. j. te, w których prowadzoną była hodowla, przy obrachunku wieczornym na rozkładzie okazało się, żeśmy zabili w 10 strzelb wszystkiego *sześć bażantów*—kogutów i kur. Niewątpliwie więc ręka jakiegoś złoczyńcy, czy złoczyńców wymiotła doszczętnie cały przychówek przed samem polowaniem. Skonfundowany w najwyższym stopniu tym rezultatem gospodarz, objaśnił nas, że oddalił przed niedawnym czasem gajowego tego rewiru, i że to niewątpliwie on sam, czy przy pomocy innych kłusowników, wypłatał tego figla na złość swemu następcy.

Walkę z kłusownictwem prowadzą zwolennicy prawidłowej hodowli w sposób nader energiczny, lecz niezawsze z dobrym rezultatem. Potworzyły się, jak to już miałem sposobność zaznaczyć kiedyś, stowarzyszenia dla prowadzenia walki z tą plagą. Dwa z nich — najpotężniejsze — są: „Saint-Huber Club" i „Société centrale des Chasseurs pour aider á la repression du Braconnage". Oba te stowarzyszena liczą po kilkadziesiąt tysięcy członków i dekretem prezydenta republiki zostały uznane za instytucye użytku publicznego *(établissements d'utilité publique)*, co im daje pewne prerogatywy.

Właśnie wpadła mi w rękę ustawa drugiego z tych stowarzyszeń (Société centrale des Chasseurs), z której przytaczam najważniejsze punkty, jako mogące zainteresować mych czytelników. Członkiem stowarzyszenia może być każdy, kto tylko złoży piśmienną deklaracyę o przyjęcie na ręce zarządu jednej z licznych filij, rozsianych po wszystkich większych miastach. Składka roczna wynosi 10 franków. Członek za to otrzymuje kartę członkowską, rocznik Towarzystwa, każdego 15-go — Biuletyn urzędowy Towarzystwa, Instrukcyę dla gardów (gajowych i polowych) prywatnych, oraz ulgowe warunki asekuracyi gardów w towarzystwie *La Foncière*.

Oprócz składki rocznej, członek płaci po 20 fr. rocznie od każdego zadeklarowanego garda, o ile chce, aby jego gardzi mieli prawo do nagród, wydawanych przez towarzystwo. Nagrody wydawane bywają w formie medali honorowych (złotych, srebrnych pozłacanych, srebrnych i bronzowych), a także pieniężne od 10 do 100 franków. Tak np. za złapanie na gorącym uczynku kłusownictwa przy pomocy sieci, zatrzasków i t. p. — 100 fr.; za złapanie kłusownika w nocy na zasiadce lub z latarnią — 50 fr.; za ujawnienie tajnej sprzedaży zwierzyny w czasie zabronionym — 50 fr.; za zatrzymanie przyrządów kłusowniczych — 20 fr. i t. d.

Widocznem jest, że stowarzyszenie, które działalność swą rozciąga na najbardziej nawet zapadłe zakątki kraju, a które nadto rozporządza setkami tysięcy franków rocznie, może wywierać dobroczynny wpływ na podniesienie poziomu prawidłowej gospodarki łowieckiej. Garną się też do niego wszyscy myśliwi, którym tylko na sercu leży dobro myślistwa krajowego, a kłusownicy na każdym kroku napotykają ludzi chętnych do unicestwienia ich występnej działalności.

Na zakończenie mej pogawędki, wspomnieć muszę o niezmiernie ciekawym okazie zająca, jaki padł na polowaniu w Montrésorze. Zając ten był dotknięty niekompletnym albinizmem, a mianowicie był całkowicie koloru kawy ze śmietanką, tylko wierzch głowy miał nieco ciemniejszy, koloru kawowego. Jedno oko miało kolor naturalny, a drugie było, jak to mówią, „rybie", t. j. koloru niebieskawego. Okaz ten został wypchany i znajduje się w posiadaniu p. Pawła Grazon'a, który go zabił.

Jan Sztolcman.

Nasze gospodarstwo łowieckie w pierwszej połowie XIX w.

(Dokończenie).

Wprawdzie do wyniszczenia łownej zwierzyny w naszych lasach, przyczynia się także wielka liczba drapieżnych zwierząt i ptaków, lecz i te nie byłyby tyle szkodliwemi, gdyby staranniej przedsiębrano środki do ich tępienia, a przynajmniej z taką ścigano ich namiętnością, jak zwierzynę łowną. Niedźwiedź szkodliwy zwierzostanowi, już nie jest u nas miejscowym, wszędzie on wygubiony został, i czasem tylko odwiedza lasy nadniemeńskie jako przybysz.

Wedle wiarogodnych podań, Branicki, Wielki Łowczy Koronny, pan wielce możny, właściciel mnogiej psiarni, polował na niedźwiedzie w puszczy Kampinoskiej; a od jednego z nich, którego ranił, byłby srodze poturbowany, gdyby go trafnym strzałem Buczacki nie uwolnił od zguby. Branicki oswobodzony od rozjuszonego zwierza, ofiarował wybawcy swemu zegarek na emalii, którego dla pamiątki, niedźwiedź był godłem. Zegarek ten później miał przejść na własność pana Stentzel, dziedzica wsi Duchnic (o mil 2 od Warszawy), głośnego z posiadania niezrównanego charta, zwanego Wolantem, który, jak wieść niesie, miał podeszwy u nóg kosmate, podobnie jak u zająca. Ludwik książę Radziwiłł, dawał wieś za niego, ale jej Stentzel nie przyjął.

Koniec owego niezrównanego Wolanta był smutny, a więcej jeszcze, jak dla charta, nieodpowiedni. Na starość, za wysługi swemu panu, korzystając z łaskawego chleba, pewnego dnia, jak to zwykle bywało, wy-

grzewał się na słońcu, gdy wtem śpiesznie zatoczył się powóz z gośćmi i pogruchotał mu kości.

Ryś staje się coraz rzadszym, miejscowym jest tylko w niektórych lasach gubernii Augustowskiej. Jedynie lisy i wilki znajdują się wszędzie, gromadami się snują po polach i lasach, a ich żarłoczność połączona z drapieżnością licznej familii drobnych mięsożernych zwierząt, i nierozsądne polowanie łatwo zwierzostan w kraju naszym do opłakanego doprowadzić mogły stanu.

Ponieważ nauka łowiectwa podaje środki nietylko łowienia i zabijania różnych zwierząt ssących i ptaków siłą, ręcznością i wszelkimi sposoby, ale razem ich hodowania i rozmnażania; żeby więc na wolności żyjącym skutecznie w tem przyjść w pomoc, poznać musimy ich naturę, miejsce pobytu w różnych porach roku, ulubiony pokarm; odkryć wszystkie przymioty i skłonności przyrodzone, które zwierzynie na wolności byt zapewniają; a to poznawszy dokładnie, będziemy w stanie przyłożyć się do ich rozmnażania... jakie widzimy w krajach ościennych.

Wszystkie łowne zwierzęta hodowane być mogą na wolności i w zamkniętych miejscach (zwierzyńcach); ptastwo zaś dzikie, wyjąwszy bażanty, tylko w miejscach dowolnie przez siebie obranych. W hodowaniu zwierzyny łownej na wolności i w zwierzyńcach, niezbędne są następujące główne warunki:

a) dogodna i obfita w paszę miejscowość dla zwierzyny,

b) ochrona od ludzi i drapieżnych zwierząt, a stąd potrzebna spokojność,

c) rozsądne użytkowanie i utrzymanie potrzebnego stosunku między płcią.

Rozumie się , że hodowanie zwierząt dzikich, może tylko mieć na celu same pożyteczne gatunki, i to takie jeszcze, które nie zmieniają swego siedliska, a przynajmniej nie bardzo się od niego oddalają. W dawnych czasach, kiedy lasy jeszcze były obszerne, a ludność mała, nie było też trudno znaczny utrzymać zwierzostan. Dość było ochraniać zwierzęta łowne od napaści drapieżnych, przez co one prędko się rozmnażały, bo lasy ogromne, bagna niedostępne, opatrywały je we wszystkie potrzeby. W owych czasach nie żądano więcej od dobrego myśliwego, jak tylko, żeby w kniei pod dozór mu oddanej, największy był zwierzostan, bez względu na środki, jakich do tego celu używał, a osiągnąwszy to, uchodził za doskonałego; bo główny jego zamiar był dopięty. Nie tak łatwo da się to osiągnąć w naszych czasach. Gorliwy myśliwiec różne napotyka przeszkody, które jego przodkom wcale nie były znane. Lasy się zmniejszyły, żyzne łąki stały się własnością rolnika, ludność się wszędzie powiększyła, a na daleko mnieszej przestrzeni leśnej, dziesięć razy liczniejsze krążą inwentarze, szukając swego pożywienia. Fabryki i rękodzielnie drzewo konsumujące, nakazują właścicielowi baczne zwrócić oko na pozostałe lasy, bo drzewo już wielkiej nabrało wartości, i ta się corocznie powiększa. Stąd pragnie porządny gospodarz największe mieć korzyści ze swego lasu; a że drzewo główny stanowi przedmiot, stara się je uprawiać i wszystko to od niego oddalać, coby wzrostowi jego było szkodliwe. Dla tych przyczyn, myśliwy dzisiejszy w zupełnie innem znajduje się położeniu, bo przymuszony jest zwierzostan swój ograniczyć w stosunku do miejscowości, mając wzgląd na obszerność lasu, gatunek drzewa, położenie, oraz na pobliskie pola las otaczające; wiadomości więc jego, zupełnie innego być muszą rodzaju, od tych, jakie poprzednicy jego posiadali.

WYPRAWA MYŚLIWSKA

do krainy Massaï.

Przez

Edwarda Troianowskiego.

(Ciąg dalszy).

Mimo pesymistycznego usposobienia mego towarzysza, który pilnie obserwując przez lornetkę, twierdził, że z takim postrzałem, gdzie kula przechodzi przez wnętrze, żyrafa może żyć jeszcze 2 — 3 dni i ujść tak daleko, że nie będziemy w stanie jej dojść, postanowiłem nie dać za wygraną i iść śladami. Narazie jednakże należał się krótki wypoczynek, — w pół godziny, mimo zbliżającego się południa, postanowiłem szukać ranionego zwierza. Towarzysz mój został narazie, obiecując wkrótce iść za mną.

Nie tracąc ani na chwilę śladu, który od czasu do czasu znaczyły krople krwi, wskazywane mi z radością przez mego strzelca Massaja, którego z sobą zabrałem, weszliśmy po godzinnym marszu w zarośla, wśród których z rzadka rosły olbrzymie drzewa gumowe. O kilkaset metrów od brzegu przy małej polance spostrzegłem stojącą pod drzewem żyrafę. Tym razem zachowując największą ostrożność, podszedłem na 200 m. i dałem 2 strzały. Pierwsza kula strzaskała przednią nogę, druga raniła nisko w komorę; po tym strzale żyrafa, wykonywując rozpaczliwe ruchy, runęła na ziemię.

Gdym podszedł na parę kroków, zerwała się, lecz iść już nie mogła i strzał dany w głowę zakończył żywot prześlicznego tego zwierza.

Na odgłos strzałów, przybyli moi ludzie, których baron wysłał przodem, sam także niebawem nadciągnął. Zdaniem tego wytrawnego myśliwego zabita żyrafa jest okazem rekordowym. Niestety, wymiary, które na miejscu zrobiłem, zaginęły; pozostała jedynie szyja wraz z głową, którą kazałem wypchać w Hamburgu. Preparator p. Umlauf określił ją za największą, jaką kiedykolwiek widział.

Ponieważ w pościgu za zranioną żyrafą oddaliliśmy się bardzo od obozu, trzeba było myśleć o natychmiastowym powrocie. Dla dozoru nad robotą, sztukę, której skórę i mięso trzeba będzie przenieść dopiero jutro przy większej ilości ludzi, zostawiłem u mego strzelca, dając mu do towarzystwa 2 wakambów.

Ciemno już było zupełnie, gdyśmy w oddali ujrzeli ogniska, palące się w obozie.

Na drugi dzień od rana wysłałem wszystkich ludzi po żyrafę, w obozie pozostał tylko jeden Thom Hamis i paru innych drapichrustów, niegodnych spełnienia tak ważnej czynności, jaką jest uczestniczenie w przyniesieniu śmiertelnych szczątków mego wspaniałego trofeum. — Obóz opustoszał zupełnie, ogniska przygasały, towarzysz mój widocznie wskutek wczorajszego uciążliwego marszu, czuł się zmęczonym i chorym i nie wychodził z namiotu; jednem słowem smutno jakoś zrobiło się w gwarnym i wesołym moim obozie. Z początku zabrałem się do porządkowania mych rzeczy, lecz nie sporo szła mi ta praca, więc nie namyślając się dłużej, wrzuciwszy sztucer na ramię i objuczywszy Hamisa butelką wody, we dwóch powędrowaliśmy na polowanie. Wśród zrzadka rosnących, krzaczastych akacyj pomykały na daleką metę całe stada „Empola“ i „Kongoni“. Nie miałem dziś jednakże ja wielkiej ochoty do robienia wysiłków w celu podchodzenia lepszych sztuk; strzeliłem więc do stojącego na szczycie mrowiska i obserwującego nas „kongoni“, którego w ogniu zrulowałem.

By nie tracić tak pożądanego dla kuchni naszej prowiantu, wróciliśmy do obozu, skąd Hamis zabrał ostatnich 3 ludzi i z nimi przyniósł głowę i najlepsze kawały mięsa.

Około 3-ej po poł. za rzeką usłyszeliśmy głosy i nawoływania się murzynów; domyśliliśmy się, że to nasi

wysłani do Matschokos, wracają ludzie, jakoteż wkrótce ujrzeliśmy ich po drugiej stronie rzeki w znacznie większej liczbie. Poczciwi misyonarze spełnili moje życzenia z największą akuratnością, przysyłając mi 15-tu silnych i dobrze zbudowanych Wa-kamba; wraz z nimi przywędrowały 3 „Bibi" czyli kobiety, widocznie żony, których kochające serduszka nie ścierpiałyby rozłąki parumiesięcznej, przekładając trudy wyprawy nad rozstanie.

Przeprawa przez rzekę udała się znakomicie i wkrótce witaliśmy się, jak starzy znajomi. Każdy z murzynów składając obok mego namiotu worek, który w ciągu dwóch dni niósł na głowie, czuł się w obowiązku powiedzieć mi „Yambo"*) i czemprędzej zasiadał przy ognisku, poszukując w popiele resztek pieczonego mięsa. Przed samym wieczorem powróciła reszta mych ludzi niosąc całe olbrzymie kawały mięsa żyrafy, na widok których radość pozostałych w obozie nie miała granic.

Cichy i spokojny dziś rano obóz zmienił się do niepoznania, tak dalece, że przy pomocy Muniau Pary i Hamisa musiałem hamować wybryki radosnych uczuć, dzięki którym mogłaby cała zwierzyna na parę wiorst w około pouciekać gdzie pieprz rośnie. Misyonarze prócz doskonałych kartofli i jarzyn przysłali mi w podarunku koguta i kurę, która to para, mimo że całą drogę w niezbyt wygodnych warunkach odbyła, czuła się doskonale i tak jak u siebie w domu gospodarowała w obozie. Szczególniej kogut, będąc widocznie bardzo ciekawego usposobienia, za miejsce najwięcej godne swych obserwacyi obrał sobie mój namiot, i w nim obejrzawszy wszystko dokoła, postanowił również spędzić noc, usadowiwszy się dumnie na krawędzi łóżka. Projektowi temu jednakże sprzeciwił się Hamis, który bez żadnych ceremonij biednego pana koguta schwycił za kark i mimo rozpaczliwych krzyków, manifestujących niezadowolenie, z powodu brutalnego obchodzenia, wsadził do koszyka, w którym już poprzednio umieszczoną została nierównie spokojniejszego charakteru małżonka jego.

Dziś wieczorem przybyło kilka nowych ognisk, przy których do późna w noc opowiadano sobie zdarzenia z ostatnich paru dni, dopóki i zmęczenie nie zrobiło swego, sprowadzając powoli ciszę i sen.

Nad ranem zbudził mnie stojący na straży nocnej strzelec, donosząc, że towarzysz mój, czując się chorym, prosi mnie do swego namiotu. Zastałem go silnie zdenerwowanego z objawami powrotu czarnej febry. — Niewesoła w każdym razie zapowiadała się perspektywa. Jak mogłem, pocieszałem biednego Niemca, któremu po chorej głowie najokropniejsze snuły się obrazy — co chwila wspominał o śmierci, błagając mnie, bym go nie opuszczał, a gdy umrze, zbudował mu taki grób, jaki ma Lauana, wielki wódz i czarownik Massai, a brat krwi jego. Na szczęście rano, gdy słońce złotem swych promieni ubrało szczyty drzew, towarzysz mój widząc dzień i światło na dworze, uspokoił się znacznie i wycieńczony silnym atakiem, zasnął spokojnie, z czego korzystając, zebrałem mych strzelców i opuściłem obóz, by upolować mięsa na zapas dla mej karawany. Przeszedłem łożysko rzeki, i wśród złomów kamiennych, na których setki zielonych wygrzewało się jaszczurek, i dobrze mi znaną ścieżką, wydostałem się na otwarty step. — O kilometr lub więcej pasły się całe stada zebr i gazelli Grant'a i Thomson'a. W ich to kierunku począłem się podkradać, gdy wtem najniespodziewanej o 400—500 kroków spostrzegłem małego nosorożca samotnie spacerującego po stepie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to ten sam, któregośmy chcieli przed 3-ma dniami pochwycić.

Malec najspokojniej szedł w naszym kierunku. By go nie płoszyć, cofnąłem się wraz z mymi strzelcami w zarośla, posyłając jednocześnie do obozu po wszystkich ludzi, którymi chciałem otoczyć nosorożca, aby go napewno pochwycić.

Niestety, wszystko uledz musiało zmianie. Z obozu przybiegło dwóch ludzi, zawiadamiając mnie, że towarzysz mój ponownego dostał ataku. Zostawiłem więc jedynie strzelca mego z jednym jeszcze człowiekiem, poleciwszy im pilnie obserwować nosorożca, sam zaś pośpiesznie wracałem do obozu.

Przybywszy na miejsce, zastałem w istocie barona B. w gorączce i już z nieomylnymi śladami czarnej febry (Black Wokr fiver). Wobec stanu bardzo groźnego, postanowiłem wysłać posłańca po doktora do Nairobi o 75 — 80 wiorst ztąd odległego. List mój poniosło 2 Massajów, którzy obiecali mi iść i w nocy i z całą pewnością mieli stanąć w Nairobi równo ze wschodem słońca.

Około południa gorączka doszła do maximum. Jednocześnie przytem musiałem zaaplikować nacieranie i sztuczne oddychanie jednemu z mych ludzi, którego muł kopnął i pozbawił przytomności.

Pod wieczór zdrowie obu pacyentów moich polepszyło się znacznie. Ludzie, których zostawiłem w celu obserwowania nosorożca, wrócili, zawiadamiając, że zwierz ukrył się w przybrzeżnych trawach i papyrusach tak gęstych, że było niemożliwem dalej go śledzić. Przed samym wschodem słońca zastrzeliłem marabuta, których całe masy obsiadają okoliczne drzewa, oczekując rychło będą mogły gospodarować w opuszczonem przez nas obozowisku. Brzydki ten ptak i bardzo niepachnący, prześliczne ma pióra, które, zdaje się, są dość w Europie cenione.

(C. d. n.).

*) Yambo = dzień dobry.

JASKÓŁKA.

Wdzięczny ten ptaszek, wierny towarzysz człowieka, przez cały czas, dopóki łagodna temperatura dozwala mu dotrzymywać nam kompanii, z całem zaufaniem szuka gościnności pod dachem mieszkań ludzkich, ufny w to, że nie robiąc, co się nazywa, żadnej szkody nikomu, a pracując nieustannie nad tępieniem szkodliwych owadów, zdobył sobie prawo do protekcyi człowieka. Ufność ta zwykle go nie zawodzi, i gniazda jego są szanowane, z wyjątkiem nierozważnych ludzi, szukających chluby w popisywaniu się zręcznością strzelecką, trafiając jaskółki w lot, — nikt ich nie zaczepia.

Istotnie trudno sobie wyobrazić coś zręczniejszego i wdzięczniejszego, niż jaskółkę, która urozmaica monotonność otoczenia swoim miłym dla ucha świegotem, i błyskawicznymi ruchami, przerzynając powietrze we wszystkich kierunkach w pogoni za owadami, które niszczy w olbrzymich ilościach.

Przylot i odlot ich, ściśle uwarunkowane są ciepłotą atmosfery, i śmiało twierdzić można, że skoro jaskółki się pokażą,chłodów obawiać się nie należy. Przylatują one zwykle w początkach kwietnia, w roku zaś ubiegłym pokazały się dopiero 21. Odlatują w końcu września. Jednak w ciągu tego niedługiego czasu zawsze zdążają wyhodować dwa pokolenia potomstwa, a tak wielkiem jest ich zamiłowanie czystości, że nigdy jaj nie zniosą w gniazdo, które opuściły młode z pierwszego tegorocznego lęgu, lecz budują nowe, dopóki zaś młode nie mają siły wychylać się,.z gniazda rodzice wszelkie nieczystości wynoszą w dziobkach.

Jako wielki ich zwolennik, skoro tylko na wiosnę jaskółki się pokażą, wyjmuję okna w sieni i jaskółki nieodmiennie ścielą tam swoje gniazda, dostarczając wybornej sposobności do obserwowania ich z blizka.

Protekcya, jakiej doznają odemnie, tak je ośmieliła, że w zeszłym roku jedna para usłała sobie gniazdo w moim pokoju sypialnym, tuż nad łóżkiem, które wskutek tego musiałem cokolwiek odsunąć od ściany. Latem, dla świeżego powietrza, na noc okien nie zamykam, ale zresztą w chłodne dnie, których w roku zeszłym było du-

żo, kiedy trzeba było na noc okna zamknąć, to ich bynajmniej nie przerażało i rano latały dokoła pokoju dopóty, aż, zbudzony, poszedłem im okno otworzyć.

Ponieważ rzecz ta mogłaby się komu wydawać nieprawdopodobną, przeto umyśliłem gniazdo z młodemi odfotografować, szkoda tylko, że obstalowany fotograf przyjechał akurat w dzień 11 sierpnia, w którym cała progenitura jaskółek uleciała z gniazda, tak, że na fotografii widnieje puste gniazdo tylko.



Nie wiem, skąd wzięła się wzmianka o tem, że w roku bieżącym jaskółki gdzieś w Niemczech odleciały 10 lipca; jest to dla mnie wprost niezrozumiałe, albowiem, jak powiedziałem, dopiero w miesiąc później młode z gniazda wyleciały. 10 września widziałem ogromny ich zlot, widocznie gotowały się do drogi, istotnie potem znacznie ich ubyło, jednak ostatnie odleciały dopiero na drugi dzień po silnym przymrozku z d. 23 września, zatem całkowity ich pobyt w mojej okolicy wynosił w tym roku 5 miesięcy i 3 dni.

J. Konczewski.

Ze wspomnień starego myśliwego.

Polowanie na wilki na stepach ukraińskich.

Przed kilkudziesięciu laty słyszałem opowiadanie p. D., ukraińca, o polowaniu na wilki. Sądząc, że nie będzie ono bez intersu dla czytających, wiernie je tu powtórzę.

Polowanie na wilki odbywało się tylko zimową porą, i to po śniegu. Potrzeba było do tego trzech jeźdźców. Lecz nie każdy mógł do tego rodzaju polowania należeć, albowiem trzeba było być silnym mężczyzną o zdrowych płucach i mieć doskonałego wierzchowca. Bronią, czy narzędziami, służącemi do tego polowania, była zwykła smycz rzemienna, używana przy chartach, i gruby nahaj z obszytą na końcu kulą ołowianą. Obierano dzień pogodny, cichy i niezbyt mroźny. Wyjeżdżano zwykle wczesnym rankiem, albowiem o tej porze łatwiej było spotkać wilka. Z początku jechano razem stępa, pilnie rozglądając się po stepie. Jak tylko spostrzeżono wilka, puszczono się za nim w ten sposób, że najlepszym obdarzony wzrokiem jechał wprost za wilkiem, dwaj zaś inni rozjeżdżali się na boki. Wilk, zobaczywszy jeźdźców, zaczął zmykać, ile mu tylko siły starczyły, wkrótce więc odsadzał się coraz bardziej. Myśliwi, nie zważając na to, jechali za nim małym galopem, aby przed czasem nie pomęczyć koni. Czy to chcąc się schronić, czy też przypadkiem wilk zanurzał się w burzany lub oczerety i niknął z oczu, ale jako zwierz gruby, szedł zawsze prosto i niebawem ukazywał się na stepie.

Tak jechano za nim wiorst kilkanaście. Wtedy wilk, zmęczony, zaczął folgować w biegu, a gdy się znacznie do niego zbliżono, popędzano konie i dochodziło do tego, że dawano mu obroty. Przy każdem spotkaniu częstowano go nahajem. To w końcu tak zmęczyło wilka, że stawał. Wtedy jeździec, zeskoczywszy z konia, zakładał mu smycz na kark, bez wszelkiej obawy ukąszenia, albowiem wilk zmęczony, wysuwając i chowając na przemiany język, kaleczył go sobie tak, że, według wyrażenia opowiadającego, stawał się gruby, jak butelka, a przez to pyska zamknąć nie dawał. Wilczysko, poczuwszy się złapanym, zaczynał się szarpać, ale w końcu nahaj przyprowadził go do porządku, tak, że szedł przy koniu potulny, jak chart. Zakończenie to trafiało się najczęściej na dwudziestej wiorscie, a czasem i dalej.

Nietrudno pojąć, jaką to, prawdziwie męzkie polowanie, napełniało radością w tryumfie powracających myśliwców, i nic dziwnego, bo to była sztuka nie lada, żeby złapać wilka w czystem polu i żywcem przyprowadzić do domu.

Takie to dawniej były polowania!

Tout est passé — tout est fini.

K. Dębicki.

Zając w historyi.

O ile sądzić można z różnych danych historycznych, zające za czasów starożytnych stanowiły dość rzadkie okazy. Stary Testament zalicza zająca do zwierząt „nieczystych“, zabraniając go przeto spożywać Izraelitom.

Natomiast u Rzymian starożytnych, którzy byli wielkimi smakoszami, dowodem czego są ich wyszukane i kosztowne przysmaki, jak języczki słowików i t. d. — nie bez zasady twierdzi rzymski poeta - epigramacista, Marcus Valerius Martialis (ur. ok. 40 r. po Chr.): „*Inter quadrupedes gloria prima lepus*“, tak samo zająca chwalą Pliniusz i Ksenofon. O Sewerusie (*Lucius Septimius Severus*) mówiono, że dlatego jest tak piękny, iż zajada dużo zajęcy.

Z wieków średnich znane są fakty następujące:

Gdy królowa Eleonora z Francyi przybyła d. 18-go października 1544 r. w odwiedziny do swego brata, cesarza Karola V, do Brukselii, otrzymywała dla swego stołu codziennie, oprócz 128 funtów wołowiny, kilka baranów, cieląt, świń i t. d., a tylko dwa zające.

Podczas sześciodniowych polowań z naganką, urządzonych przez króla Ferdynanda z Neapolu w zamkach myśliwskich Carditello i Domanio di Calvi zabito 208 dzików, 740 bekasów, 960 kaczek-krzyżówek i zaledwie 5 zajęcy.

Z rozkładów królewskich i książęcych za dawnych czasów widać, że nie uwzględniono wcale zajęcy, a często i kuropatw. Tak np. wiadomo, że na polowaniach księcia-elektora Jana Jerzego I Saskiego (1611 — 1655) zabito, w czasie jego 44-letniego panowania,46,910 sztuk

jeleni i sarn, 31,902 dzików i około 6,000 drapieżników, z czego 3,872 wilków, 1,915 lisów, 217 rysiów, 149 żbików i t. d. Syn tegoż, elektor Jan Jerzy II przez 24 lat panowania zabił 60,513 jeleni i sarn, 22,298 dzików, 2,195 wilków, 2,740 lisów, 292 żbików i t. d. W spisach tych niema nic o zającach.

Dekret cesarza Zygmunta z r. 1425 stanowi, że kto złowi zająca w lasach Lüneburskich, ten zostanie skazany na odrąbanie grubego palca u prawej ręki.

Jeszcze w XV-ym wieku zając był wyjątkowym przysmakiem na stołach królewskich. Książę bawarski, Albrecht V (1556 — 1559), który miewał olbrzymie rozkłady, ubił przez całe życie zaledwie 246 zajęcy.

Powoli jednak zaczęły wzrastać liczby zabijanych zajęcy. W r. 1780 ubito na polowaniach Wirtemberskich 6,000 zajęcy. W tymże Wirtembergu ubito w 1813 roku 11,642 zajęcy. Statystyka zaś niemiecka ostatnich lat wykazuje, że w Niemczech pada obecnie około 4,000,000 zajęcy rocznie.

Dr. K.

Polowanie zimowe na kaczki.

Polowanie na kaczki zimową porą jest prawdziwą rozkoszą dla myśliwego, wymaga jednak ludzi wytrzymałych na niepogodę, oraz posiadających potrzebne doświadczenie.

Dobrym środkiem, przynęcającym dzikie kaczki wędrowne, są sparzone ziarna, kukurydza i różne zboża; szczególnie chętnie spożywają skrzepłą krew wołową; bardzo też pożądaną dla nich karmą są różne wywary. Gdy śnieg leży na ziemi, bardzo ważnem jest wkładanie na kurtkę myśliwską, koszuli śnieżno-białej, gdyż w takiem przebraniu, kaczki nie spostrzegą przedwcześnie myśliwego. Koszula taka jest szczególnie ważna na polowaniu na zapadające kaczki i na podchodzeniu ptactwa wodnego w czasie nocy księżycowych. Niektórzy zalecają na podchodzeniu płynących kaczek dzikich zasłaniać się ogromną tarczą, mającą postać krowy, a ukrywającą wybornie myśliwego. Oczywiście, że takie zasłony nie są potrzebne tam, gdzie w pobliżu nad wodą znajduje się gęsta roślinność, sitowie, lub krzewy, ukrywające dostatecznie myśliwego.

Przy podjeżdżaniu czółnem można sobie także radzić w ten sposób, że przymocowujemy do czółna zasłonę z trzcin i sitowia, za którą myśliwy się ukrywa, dopóki nie podjedzie do pływających kaczek na odległość strzału. Te zaś zwykle nie zwracają uwagi na ten środek pomocniczy, ponieważ na większych wodach często widzą pływające krzaki i t. p.

Znany powszechnie jest środek posługiwania się wabiącemi kaczkami oswojonemi. Używa się w tym celu osobników, podobnych jaknajbardziej do dzikich gatunków. Kaczki wabiące przymocowujemy do pali, wbitych w grunt podwodny, przyczem urządzamy rodzaj steru, przy którego pomocy kaczki mogą pływać wokoło na pewnej przestrzeni. Pożytecznem jest bardzo przymocowanie kaczek wabiących płci obojej razem, ażeby w ten sposób głos ich rozlegał się także od czasu do czasu.

Ażeby nie narażać psa na niebezpieczeństwo przez rozkaz aportowania postrzelonych kaczek zimową porą z wody, jak lód, zimnej, zwłaszcza gdy mamy psa krótkowłosego, — można sobie radzić w następujący sposób. Bierzemy kawał konara, na którym sterczą jeszcze pnie gałęzi, wygięte w różne strony. Drzewo to przymocowujemy do długiego sznura. Chcąc wydostać na ląd kaczkę postrzeloną lub ubitą, rzucamy to drewno nieco dalej za nią w wodę, i zahaczywszy o kaczkę, wyciągamy ją na ląd bardzo łatwo.

Postrzelone kaczki, które usiłują kryć się pod wodą, żeby nie być chwytane, dobijamy strzałem w głowę, cienkim śrótem. Te zaś, którym udaje się ujść prześladowaniu po postrzeleniu, zwłaszcza, gdy im w tem nie przeszkadzamy czas dłuższy, conajmniej przez pół dnia, — ukrywają się w zaroślach nadbrzeżnych, gdzie siedzą tak bezpiecznie, że nawet, gdy o tem wiemy napewno, nie możemy ich stamtąd wydostać przy pomocy psa.

Zrywające się kaczki częstujemy śrótem Nr. 5 lub 6 (sosnowicki) z boku lub z tyłu, gdyż z przodu mogą znieść nawet dobry strzał, z powodu gęstego opancerzenia piórem. Do pływających kaczek strzelamy jedynie w głowę, ponieważ gdzieindziej trafione, ulegają prawie zawsze tylko zbarczeniu, śrót bowiem rzadko kiedy może tak przebić złożone, silne szypułki piórowe lotek, żeby uszkodzić organy wewnętrzne.

K—z.

Ulepszone budy dla psów.

Zagraniczne pisma myśliwskie podają opisy nowych, ulepszonych bud dla psów, zawierające wiele pożytecznych wskazówek w tym kierunku.

Fakt to nieulegający wątpliwości, że dotychczas w dziedzinie bud dla psów we wszystkich krajach znać bardzo mały postęp. Budy starego systemu mają przedewszystkiem tę wadę kardynalną, że czyszczenie ich, a zwłaszcza usuwanie robactwa jest bardzo utrudnione i zostawia wiele do życzenia.

Ulepszona zaś buda usuwa te niedogodności całkowicie, gdyż można wszystkie jej części składowe czyścić gruntownie, począwszy od podłogi, aż do dachu, który łatwo się zdejmuje. A przecież pamiętać należy, że w razie niedokładnego czyszczenia budy, zwierzę wystawione jest na niebezpieczeństwo, iż stanie się pastwą robactwa. W niewygodnej budzie pies jest zawsze niespokojny, nie rozwija się należycie fizycznie i dniem i nocą czuje się niedobrze, dopóki się nie pozbędzie trapiącego go robactwa. Najbardziej bywa ono dokuczliwe w cieplejszej porze roku.

Ulepszone budy mają u spodu dno wysuwalne z wprawionem sitkiem, przez które uryna wycieka, gdy pies ją tylko oddaje. Z tego też powodu podłoga jest zawsze sucha i nie czuć charakterystycznego odoru, jaki bywa często udziałem wielu psów i ich otoczenia.

Następnie wielką zaletą odznacza się nowa konstrukcya pokrywy dachowej budy; daszek ten otwiera się, jak klapa, u góry z jednej strony i może tak pozostać otwarty. Pokrywę robimy ze słomy, co wygląda oryginalnie i przypomina strzechę chatki chłopskiej. W zimie zatrzymuje ciepło, a letnią porą jest stale chłodnawo po oblaniu dachu wodą tylko raz dziennie. Takie pomieszczenie stanowi wygodny pobyt dla zwierzęcia nawet podczas największych upałów, kiedy, jak uczy doświadczenie, psy bardzo cierpią, zwłaszcza gęsto uwłosione; z tego też powodu o tej porze roku zdarzają się najczęściej różne choroby psów.

Za legowisko psa służy tu najlepiej podściółka ze słomy, którą można w takiej budzie łatwo zmieniać. Gdy suka pomiata młode w tej budzie, można je wszystkie doskonale obserwować z góry, bez przyklękania i nachylania się do otworu.

Do ściany przedniej przymocowuje się naczynie do pokarmu, które daje się także zdejmować; jest zaś tak urządzone, że zwierzę przy wchodzeniu i wysuwaniu się z budy nie zawadza o nie bynajmniej. Dla ozdoby dodaje się nad wejściem rzeźbioną głowę psa myśliwskiego.

Letnią porą zawiesza się przed otworem wejściowym firankę, która nie przepuszcza do wnętrza much i owadów, dokuczających psom w innych budach. Urządzenie takie okazało się bardzo praktycznem; pisma fachowe wyrażają się o niem z całkowitem uznaniem.

Budy ulepszone uzyskały już liczne nagrody na zagranicznych wystawach psów, za wybitnie praktyczne i hygieniczne swe właściwości. Ponieważ jednak nie opłaci się zapewne sprowadzać ich z zagranicy, przeto można i tu na miejscu kazać robić podobną budę stolarzowi po udzieleniu mu wskazówek zawartych w niniejszym artykule. Naturalnie, że nie trzeba ich się znowu trzymać ślepo, lecz można także dokonać jeszcze niektórych ulepszeń własnego pomysłu lub podług porady fachowej rzemieślnika. W każdym razie pamiętać należy, że dobra buda dla psa ma pierwszorzędne znaczenie w hodowli.

Jotka.

Korespondencye „Łowca Polskiego“.

Równo (pod Lubomlem) gub. wołyńska.

Tegoroczne lato niezwykle chłodne i wilgotne niepomyślnie wpłynęło na zwierzostan kuropatw i zajęcy. Co do kuropatw, tych dużo wyginęło, podczas długiej i śnieżnej zimy, z której korzystając kłusownicy, nieścigani tutaj przez nikogo, wybili ich bardzo dużo.

Wskutek tego, niektórzy myśliwi w tym roku zaniechali zupełnie polowania na kuropatwy, w celu oszczędzenia tych resztek, które się jeszcze gdzieniegdzie pokazują. Co zaś do zajęcy, te z zimy wyszły wcale nieźle, ale zajączki marcowego lęgu wyginęły od mrozów, reszta zaś silnie ucierpiała od wilgoci latem, tak, że w rezultacie jest ich stosunkowo bardzo niewiele.

Za to błotnego ptactwa mieliśmy dużo, nadto zaś wskutek niezwykle długiej i ciepłej jesieni polowanie na błocie przeciągnęło się tutaj do połowy listopada.

Kaczki dzikie które podczas ostatnich paru lat niezwykle suchych, prawie się były zupełnie wyniosły, tego lata pojawiły się nader obficie. To samo da się powiedzieć i o bekasach, tylko że te dobierały sobie miejsca, i w jednych było ich dużo, gdzieindziej zaś wcale.

Dubelty lęgawe były bardzo późne, tak, że kiedy nadeszła pora polowania, strzelać ich było szkoda, bo wiele z nich jeszcze latać nie mogło, za to znowu gościły tu niezwykle długo. Ostatniego dubelta zabiłem w d. 29 września; w tym dniu widziałem ostatnie przepiórki oraz pierwsze bekasiki. Zresztą pojedyńcze dubelty trafiały się jeszcze i później. Polowanie na kszyki i na bekasiki przeciągnęło się, jak powiedziałem, do połowy listopada; wprawdzie w tej porze zostały tylko resztki, ale do d. 2 listopada było ich dużo.

Dopiero silny przymrozek d. 2 listopada, który się przeciągnął do 6-go, większą ich część wypłoszył; pomimo tego kiedy 7 listopada znowu zrobiło się ciepło, bekasy jakkolwiek w niewielkiej już liczbie pokazały się znowu, tak, że w dniu 14 po raz ostatni miałem sposobność strzelania ich, a było tak ciepło, że dnia tego, poszedłszy na polowanie w letnim paltocie, musiałem go zdjąć, bo było za gorąco, i do wieczora chodziłem w jednym surducie; ta ciepła pogoda nie była wcale wyjątkiem, albowiem do końca października na błota mogłem chodzić w łapciach, i dopiero po przymrozkach listopadowych trzeba było włożyć buty.

Jestem przekonany, że średnia temperatura października, która nawet nocami rzadko kiedy spadała niżej + 10 stopni Reaumura, a często wynosiła więcej, wogóle niewiele różniła się od średniej temperatury czerwca albo lipca, które były wyjątkowo chłodne, i rzecz zabawna, że rolnicy partacze, którzy sieli oziminy w październiku, a takich tutaj jest dużo, lepsze mieć będą zboże, aniżeli ci, którzy je sieli w porze zwykłej, to jest we wrześniu, ponieważ posiane w tej porze oziminy przeważnie wybujały. Nie brak jednak i takich, którzy tak sobie w tym sensie pozwalali, że posiawszy w końcu października, będą zmuszeni siać po raz drugi, ponieważ ziarno dotąd nie pokiełkowało.

Z wyjątkiem niektórych drzew, jak jesiony i grusze, które liście zrzuciły wcześnie, inne dopiero w listopadzie zaczęły zrzucać liście i nie mówiąc już o dębach, akacye i wiązy w d. 1 listopada wyglądały tak samo jak wśród lata, dopiero 16 b. m. spadło trochę śniegu, powiał mroźny wiatr od północy, nazajutrz było 5 stopni mrozu, 19-go na stojącej wodzie lód był już tak mocny, że można było po nim końmi jechać; codziennie przybywało potrosze śniegu i 24-go mieliśmy już niezłą sannę, 25-go na rzece Bugu pod Świerzami można było po lodzie piechotą przejść zupełnie bezpiecznie, ale to nie trwało długo; nastąpiła odwilż, 28 spadł deszcz i obecnie kiedy to piszę, śnieg prawie zupełnie zginął, ale bekasy już się więcej nie pokazały, a szkoda, bo były bardzo tłuste.

Słonek w tym roku mieliśmy niezwykle dużo. Co się tyczy innej zwierzyny w lasach rządowych (bo innych tu prawie niema) latem dzików było sporo, i robiły nawet sporo szkód w sąsiednich zbożach i kartoflach; obecnie gdzieś się wyniosły; sarny są, ale znacznie mniej, aniżeli lat poprzednich, albowiem pod wiosnę chłopi ich dużo wybili po oziminach. Zajęcy jak powiedziałem, mało, lisów za to spotyka się dosyć. Cietrzewi jest dosyć, w tych dniach widziałem w jednem stadzie sztuk ze dwadzieścia, a istnieje taki zakątek, gdzie są i głuszce. Toki głuszców były w tym roku złe, leśnicy utrzymują, że to z powodu skrzyżowania się głuszców z cietrzewiami — rzeczy zresztą możliwej i naukowo stwierdzonej.

Jarząbki trafiają się jak zwykle, miejscami nawet dość obficie.

J. Konczewski.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady, 8 stycznia. Naczelnik powiatu włodawskiego przedstawia Radzie pochwały godną działalność straży ziemskiej, w jego powiecie w kierunku prześladowania kłusownictwa, przyczem wyróżnia 5 strażników. Rada postanowiła wyasygnować po 10 rubli nagrody każdemu z nich.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W dniu 25 listopada, odbyło się w 9 strzelb polowanie na dziki, w lasach Sławuckich, ordynacyi Romana ks. Sanguszki na Wołyniu, i padło siedm sztuk, z których dwie sztuki były grube, dwie średnie i trzy warchlaki. Polowanie, z dwoma podjeżdżającemi na saniach nagankami, było bardzo dobrze pod kierunkiem Ewy hr. Rzyszczewskiej prowadzone, a przyjęli w niem udział: Roman ks. Sanguszko, Adam i Hubert ks.ks. Lubomirscy, Ewa i Eufemia hr.hr. Rzyszczewskie oraz panowie: Tadeusz Dachowski, Artur i Andrzej Śliwińscy i Wiktor Laskowski. Największego odyńca powalił Hubert ks. Lubomirski. — Pomiędzy warchlakami zauważono kilka srokatych, co prawdopodobnie było wynikiem pokrzyżowania lochy dzikiej z białym swojskim wieprzem; prócz dzików ubito i kilka lisów.

W Karsznicach (pow. łęczycki) u p. Adolfa Wernera polowano 4 grudnia r. z. Zabito 83 zające, 7 kuropatw, 2 bażanty, 1 cietrzewia, 1 rogacza i 1 orła królewskiego *(Aquila fulva)*.

Dnia 12 grudnia na polowaniu w majątku Szpetal (pow. włocławski) w 8 strzelb zabito 260 zajęcy i 5 kuropatw. Nadto padło w Szpetalu na małych polowaniach z naganką 24 grudnia 50 zajęcy i 2 bażanty, 22 grudnia 88 zajęcy, 2 kuropatwy i lis i 30 grudnia 44 zajęcy, 1 kuropatwa i 5 bażantów.

Dnia 20 grudnia w Sochaczewskiem, w majątku Kąty p. Władysława Kozietulskiego polowano w 12 strzelb od godziny 11-ej do 4-ej i w ośmiu kotłach zabito 52 zające oraz 10 ku-

ropatw, których w każdym kotle zauważono po kilka i kilkanaście stadek. Najwięcej na rozkładzie miał p. Artur Śliwiński z Wołynia, gdyż 9 zajęcy i kurę. Całe polowanie, prowadzone, z dobrze obmyślanym planem, odbyło się we wzorowym porządku i z zupełnem zadowoleniem myśliwych.

Dnia 20 i 21 grudnia odbyło się polowanie leśne w Tomczycach u p. St. Bonieckiego. W 5 fuzyj zabito 1 kozła 154 zające, 1 bażanta, 1 cietrzewia i kuropatwę, razem sztuk 158.

Na dorocznem polowaniu kółka myśliwskiego kocieszowskiego odbytem w Kocieszowach, dn. 21 grudnia w dobrach p. Antoniego Kamockiego, zabito zajęcy 122, lisów 2, kuropatw 27, cietrzewi 11, bażantów 2, te ostatnie zabite zostały przez pomyłkę, bo do sarn i bażantów nie strzelano. Królem polowania, jak zwykle, był p. Tomasz Dębski z Piotrkowa. Rezultat bardzo dobry mimo deszczu, jaki padał przez cały czas polowania, przypisać należy stale powiększającemu się zwierzostanowi przy starannej opiece właściciela.

W dobrach Braki, w powiecie Sochaczewskim, własności p. Józefa Modlińskiego, w dniu 23 grudnia odbyło się doroczne w 27 strzelb polowanie i w ośmiu kotłach, mających po wiorście a czasem i więcej średnicy, ubito 97 zajęcy i 24 kuropatwy oraz jednego lisa (drugi uszedł z kotła, ale mocno zestrzelany). Najwięcej na rozkładzie, gdyż 13 zajęcy miał pan Leon Gołębiowski. Po polowaniu, jak zwykle, z iście staropolską gościnnością, gospodarz podejmował swych gości i przy pogawędkach przeważnie myśliwskich, bawiono się do późnej nocy. Polowanie w Brakach dzięki staraniom i zabiegom właściciela o podniesienie zwierzostanu, ma już ustaloną sławę, a jeżeli w r. b. w porównaniu z rokiem zeszłym, w którym ubito 160 zajęcy, rezultat był gorszy, przypisać to trzeba tylko temu, że w roku bieżącym brano kotły przeważnie na gruntach włościańskich, dzierżawionych przez pana Modlińskiego w około jego majątku. Kuropatw było bardzo wiele i przeszło sto kilkadziesiąt strzałów do nich padło, ale też latały w kotłach, jak kule i temu tylko przypisać należy niewielką ilość na rozkładzie.

Acs.

Szóste polowanie Członków Warszawskiego Oddziału Tow. praw. myśl. odbyło się d. 28 grudnia, wśród bardzo niesprzyjających warunków atmosferycznych, co wpłynęło na znaczne zmniejszenie rezultatu. Polowano na Sobieniach i Sobienkach w 20 strzelb i zabito zaledwie 30 zajęcy, 4 kuropatwy i 1 cietrzewia. Król polowania p. Łączkowski miał tylko 1 zająca i 2 kuropatwy.

W d. 3 i 4 stycznia odbyło się polowanie w Małej Wsi (gub. płocka) u p. Stanisława Sonnenberga. Rezultaty tegoroczne były słabsze, aniżeli lat poprzednich, do czego przyczynił się przedewszystkiem powszechny w całym kraju zły stan zwierzyny; a powtóre fatalna pogoda. Pierwszego dnia silny mróz z bardzo ostrym wiatrem mroził myśliwych osobliwie w pędzeniach polnych; drugiego zaś dnia straszna zamieć śnieżna czyniła polowanie wprost przykrem i utrudniała bardzo strzelanie. Mimo to padło 193 zające, 57 bażantów i 6 kuropatw. Królem polowania był mecenas Michał Siemiradzki z Warszawy, który zabił 38 sztuk. Zaznaczyć wypada, że w oba dni polowania widziano wilka, lecz ten na myśliwych nie wyszedł. Pisaliśmy już niejednokrotnie, że w Płockiem trzyma się od lat kilku niewielkie stadko wilków, które dzięki swemu sprytowi unikają jak dotychczas skutecznie wszelkich zamachów ze strony myśliwych. Włóczą się one pojedyńczo lub po kilka razem, chroniąc się od prześladowania w lasach rządowych nad Wisłą.

---

4 stycznia r. b. polowano u p. Juliana Boettichera w Sokolnikach (pow. łęczycki) w 18 strzelb. Szalona zamieć śnieżna i okiść zepsuła rezultaty tego pięknego polowania. Zabito 259 zajęcy, 4 rogacze, 9 kuropatw i 3 bażanty. Królem polowania był p. Wł. Słonczyński, mając 23 punkty. Pomimo niefortunnego (w wielu okolicach kraju) dla zwierzyny roku, zwierzostan Sokolnicki uznano za doskonały. Bażanty wcale nie dawały się podnosić z zagajników i kultur; gdy więc było około 300 kogutów do odstrzelenia, tylko 3 sztuki znalazły się na rozkładzie.

W dniu 7 stycznia polowano w lesie Kabackim należącym do dóbr Willanowskich Ksawerego hr. Branickiego, przy udziale 14 myśliwych. Pogoda była fatalna; zrana silna zamieć śnieżna, a od południa drobny, lecz nader gęsty deszcz czyniły polowanie tak dalece trudnem, że od śniadania naganka zastrejkowała i myśliwi zmuszeni byli wrócić do domu. W pięciu miotach padło 94 zające, 3 rogacze i 1 bażant. Najwięcej sztuk na rozkładzie miał p. Jan Sztolcman, a mianowicie: 1 rogacza i 13 zajęcy.

W majątku Pytowice (gub. piotrkowska), p. Jana Zaremby polowano w d. 7 i 8 stycznia, w 17 strzelb. Rezultat polowania: 85 zajęcy, 2 rogacze, 2 lisy i 11 kuropatw.

W d. 8 stycznia polowano w Żyrowie (pow. grójecki), dzierżawionym przez Kółko Maleszewskie. W 12 strzelb zabito 40 zajęcy i 12 kuropatw. Królem polowania był sędzia Witold Biernacki z Warszawy, który miał na rozkładzie 4 zające i 4 kuropatwy.

W lasach Chojnowskich pod Piasecznem, należących do Ksawerego hr. Branickiego, odbyło się dwudniowe polowanie, a mianowicie 9 i 11 stycznia, przy udziale 12 myśliwych.

W d. 9 opolowano połowę lasu Chojnowskiego i rewir Zalesie. W dniu tym padło 165 zajęcy i 11 rogaczy. Królestwo w dniu tym osiągnął sam gospodarz, hr. Branicki, zabiwszy 23 zające i 2 rogacze.

D. 11 stycznia opolowano drugą połowę Chojnowa i rewir Dobieszek. W dniu tym zabito 195 zajęcy i 9 rogaczy.

Tak więc przez dwa dni padło 360 zajęcy i 20 rogaczy, co na obecny, lichy na ogół rok stanowi rezultat świetny, zwłaszcza jeśli zważymy, że przez las chojnowski przeszła owa sławna nawalnica gradowa, która tak straszne szkody poczyniła w okolicach Skolimowa i Konstancina. Zasługa to nie mała miejscowego nadleśnego, p. Wiktora Stephana, który nie szczędzi trudów, aby zwierzostan utrzymać zawsze na świetnej stopie. Rok obecny dowiódł raz jeszcze, że p. Stephan nietylko w swych pracach literackich jest znakomitym hodowcą, ale że i w praktyce umie stosować zasady, tak żarliwie przez się propagowane.

Siódme i ostatnie polowanie Warszawskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, dnia 12-go stycznia na Miedniku II nie dało również dobrego rezultatu. W 20 strzelb zabito tylko 64 zające i 9 kur. I tym razem pogoda nie dopisała myśliwym. Polowanie to wyznaczone było na 4 stycznia. Gdy jednak myśliwi zjechali na miejsce, zamieć śnieżna i wichura nie pozwoliły zupełnie polować.

---

29 stycznia p. Zdanowski z Warszawy, zamieszkały w Zielonce (kol. Petersb.) strzelał o godz. 12 w dzień ze swej willi do wilka (było dwa), przechodzącego przez plant kolei i silnie go zestrzelał. Tropił go przez długi czas. Wilk się pokładał, lecz uszedł.

Drobiazgi myśliwskie.

Narzekanie na „koty“. Niejaki „Agricola“ narzeka w „Now. Gaz.“ na lichy stan zajęcy, pisząc: „Polowaliśmy niedawno na pograniczu pruskiem. Liche w tym roku koty. Jakaś choroba (motylica, czy coś w tym rodzaju) opanowała je podczas wilgotnego lata, więc mało ich pomyka, a wszystkie jakieś chude, mizerne, obalzłe

z szerści, że aż składać się przykro do tych rekonwalescentów po letniej epidemii.

Ptaki na kapeluszach. Ze wszystkich dotychczasowych cudactw mody, największem bodaj i najbezmyślniejszem jest obecna moda kapeluszowa. Nie mówiąc już o dziwacznej formie, o rozmiarach olbrzymich, barbarzyństwem jest główna ozdoba tych pluszowych i filcowych dzwonów, — ptaki i pióra. Na przystrojenie jednego kapelusza kilka ptaków pada ofiarą. Zdarza się widzieć na jednym kapeluszu po ośm skrzydeł — sów, jaskółek, kawek lub gołębi, nie mówiąc już o piórach czaplich, strusich i tym podobnych. Kapelusze, „uzbrojone" w taki krwawy łup, zdobyty na ptactwie niewinnem, podobne są do hełmu Walkiryj albo do pióropuszów włoskich „bersaglierów", nastroszonych kogucimi ogonami.

Wilki na Podolu Galicyjskiem. W okolicy Kopyczyniec, pod Tarnopolem, pojawiły się stada wilków. Zgłodniałe zwierzęta podchodzą niemal do obór ludzkich. W tych dniach jeden z włościan zabił ogromnego wilka. Obławy na razie przeprowadzić nie można, z powodu wielkich śniegów, jakie spadły na Podolu.

O szpaku. Szpak pozostaje pod ciężkim zarzutem. Przypuszczają, że wysysa on jaja gołębie. Nigdy nie spostrzeżono, aby ten ptak, kochający własną rodzinę, krzywdził tak bardzo swoich współbraci. Szpaki do tego stopnia stworzone są do towarzystwa, że trzymają się nietylko z ptakami tegoż gatunku, ale i z innymi gatunkami. Niekiedy na wiosnę i jesienią, t. j. przed i po okresie lęgowym, widzimy, jak żyją towarzysko z wronami i kawkami, jako też z kwiczołami i drozdami mniejszymi, a nawet gołębiami. Nie można wierzyć, aby ptak tak towarzyski, jak szpak, pozwalał sobie rozbijać i wysysać jaja swoich towarzyszów, niewinnych gołębi. Dr. Franklin twierdzi, że nigdy nie widział, aby szpak grabił i niszczył gniazda. Gnieździ się on razem z turkawką, gilem, dzwońcem, pliszką, kawką, ziębą, sową, lecz nigdy nie rusza ich jaj. Gdyby w jego obyczajach leżało niepokojenie sąsiadów na punkcie tak drażliwym, jak byt ich potomstwa, powstałby tumult; przeciwnie gniazda obok wróbli, sąsiadują blizko, i nigdy nie zauważono waśni pomiędzy nimi; ptaki rozdzielone tylko ścianą gniazda, nigdy nie kłócą się z sobą. Raz powstał alarm pośród komorników, dały się słyszeć okrzyki trwogi. Ujrzano, że szpak-samica zaplątała się przy wyjściu z gniazda w masę konopi, zwieszających się z gniazda wróbli. Biedny ptak wydawał straszne okrzyki, napróżno trzepotał skrzydłami, szarpał z całych sił konopie. Pośpieszono mu z pomocą; było to w porę, bo noga ptaka krwawiła i brakło mu już sił. Wreszcie ptak, uwolniony, wesoło frunął, aby odpocząć na sąsiedniej gałęzi, dokąd również pośpieszył i samiec. Gdy samica przyszła do siebie, powróciła do swych piskląt, które zostały osierocone. Kto obserwował szpaki, ten wie, z jaką sumiennością rodzice karmią młode; od rana do wieczora nie ustają w wyszukiwaniu im dżdżowników i owadów. Widziano, jak szpaki z zupełną pewnością spadały w trawę, aby chwytać podjadki, wychodzące ze swoich nor.

Przysmaki ze zwierzyny. Cyceronowskie „de gustibus non est disputandum" przypomina się wobec spisu potraw, przytoczonego w pewnem, angielskiem czasopiśmie. Nie mówiąc już o jaskółczych gniazdach, uważanych za wielki przysmak w Chinach i Indyach, czasopismo wymienia, między innemi, jako wyborne pieczyste, mięso lwa, które ma być o wiele smaczniejsze od pieczeni z twardego i łykowatego mięsa tygrysiego. Zoolog angielski, Wallace, chwali bardzo potrawę z mięsa małpiego i porównywa ją ze smakiem mięsa zajęczego, choć twierdzi, iż każdy gatunek małpy ma swój odrębny smak. Bardzo poszukiwanem obecnie jest mięso kangurów, szczególniej zaś eksportują z Australii do Anglii ogony tego zwierzęcia; służą one do sporządzania wybornej zupy. Mięso foki, jakkolwiek wygląda niezbyt apetycznie, z powodu swej czarnej barwy, odznacza się wielką pożywnością i jest nader lekko strawnem. We Włoszech i na Florydzie pieczone słowiki, oraz potrawki z krasek, rudzików i kosów, uważane są za najwykwintniejsze przysmaki. Indyanie spożywają mięso tygrysa, gdyż wierzą, że przez odżywianie się niem zdobędą siłę i zręczność tego zwierzęcia. O nadzwyczajnej delikatności szynek niedźwiedzich opiewają pieśni starogermańskie, a ozory niedźwiedzie wędzone, mają być również smaczne, jak kiszki z wątroby tego zwierzęcia, przyczem wątroba jego ma wystarczać na 25 funtów tego przysmaku. Wskutek coraz mniejszej ilości niedźwiedzi, wędliny z mięsa tychże byłyby zbyt drogie dla smakoszów. Co do smaku i zalet mięsa słonia, zdania są podzielone: Indyanie i plemiona afrykańskie jadają z wielką ochotą pieczone mięso słonia: pewien podróżnik angielski zapewnia, że mięso słonia jest niesmaczne i twarde, jak skóra; inny jednak dziwi się, że słoń ma takie delikatne i soczyste mięso. Wszyscy natomiast podróżnicy, którzy polowali na słonie, unoszą się jednogłośnie nad przedziwnym smakiem nóg słoniowych. Mięso nosorożca ma przypominać swym smakiem zarazem wołowinę i wieprzowinę.

Znaczenie ptaków dla gospodarstwa. G. Rörig w t. IV „Arbeiten aus des Biologischen Abteilung für Land u. Forstwirtschaft am kaiserl. Gesundheitsamte" ogłosił dwie prace: 1) studyum nad gospodarczem znaczeniem ptaków owadożernych i 2) poszukiwania nad pokarmem ptaków krajowych, zwłaszcza drapieżnych, dziennych i nocnych. Prace te obejmują sprawozdania z nadzwyczaj licznych i ścisłych doświadczeń, wykonanych przez autora nad karmieniem się ptaków, w celu rozstrzygnięcia o stopniu pożyteczności każdego z nich. Doświadczenia te nie przynoszą wprawdzie nowych odkryć, zasługują jednak na uwagę, jako ścisłe i naukowe poparcie dawniejszych poglądów na pożytek ptaków owadożernych. Rörigowi chodziło przedewszystkiem o dokładne stwierdzenie, ile pokarmu zużywa taki ptak. Obliczył on bardzo ściśle nietylko bezwzględną ilość spożytych przez nie owadów, ale także zawartość w nich suchej substancyi w stosunku do wagi ciała ptaka. Ze spostrzeżeń jego widać, że ptak tem więcej w lecie, niż w zistosunkowo mniejszy, i przytem więcej w lecie, niż w zimie; rudzik np. w lecie spożywa dziennie w suchej substancyi 20 % własnej wagi, w zimie 13,4 %; puszczyk natomiast tylko 5 %; 20 sikor zjada rocznie pół cetnara suchej substancyi, t. j. najmniej $1\frac{1}{2}$ cetnara żywych owadów, jaj, larw i poczwarek. Z badań nad karmieniem się ptaków drapieżnych zasługują szczególnie na uwagę spostrzeżenia nad wyrzucanymi przez nie kłębami niestrawionych części (piór, sierci), z których można wyprowadzić wnioski o ich pokarmie. Liczne bardzo spostrzeżenia — 784 nad myszołowem i 362 nad pustułką—dowodzą jeszcze raz wielkiej pożyteczności obu tych ptaków drapieżnych.

* *

Pies a blaga. Pewien myśliwy, znany blagier, miał psa, którego sprzedał. W towarzystwie zagadnął go jeden ze znajomych:

— Słyszałem, żeś pan sprzedał swego psa, któregoś pan tak lubił?

— Tak jest, wie pan, sprzedałem go, bo w ostatnim czasie był całkiem nie do użycia. Zawsze, ile razy opowiadałem o polowaniu, trząsł bestya głową!

* *
*

Wdzięczność pogromcy. — Panie pogromco! dlaczego się pan pieścisz specyalnie z tym starym lwem?

— Z wdzięczności, drogi panie! On to bowiem trzy lata temu rozszarpał moją nieboszczkę żonę!..

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ J. O. *(C. d.).*

Przepiórka.

1. Biada tej przepiórce, na której się jastrząb zaprawia.
2. I przepiórka ma pstre piórka.
3. Jaka przepióreczka, taka jej córeczka.
4. Leciały trzy pstre przepiórzyce przez trzy pstre kamienice przez sklep do piwnice.
5. Psepiórecka, dyć to kurecka.
6. Gdyby nie było chleba po dziurki, sprzykrzyłaby się manna i przepiórki.
7. Żeby guzik miał piórka, to byłaby przepiórka.
8. Ładniejsze piórka, niż przepiórka (o kobiecie brzydkiej, ale wystrojonej).
9. Taka pszenica zwykle urodzajną bywa, którą na św. Wojciech przepiórka pokrywa.
10. Kiedy sierpień następuje, resztki zboża koszą, albo sierpem dożynają i przepiórki płoszą.
11. Tak trwale, jak przepiórcze pole.
12. Lepszy wróbel w garcu, niż przepiórka w jarcu.

Przestrzelić.

1. Jakby go gomółką przestrzelił.

(C. d. n.).

Treść Nr. 2 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego“** 30 kop.

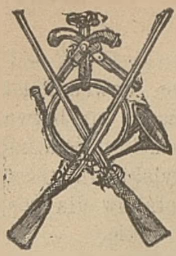
Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorże Administracyi **„Łowca Polskiego“** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.



SKŁAD BRONI
L. Niżałowskiego

Krolewska Nr. 29a, w Warszawie

poleca: Wielki wybór broni myśliwskiej śrutowej najnowszych konstrukcyj z pierwszarzędnych fabryk. Strzały gwarantowane.

Wszelkie nowości w zakresie myślistwa

Warsztat pod osobistym zarządem wykonywa zamówienia i reparacye.

Pierwszorzędne

BIURO NAUCZYCIELSKIE
Z. Jasińskiej

30

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony i cudzoziemki.

ul. Włodzimierska 19
w Warszawie.

Biuro melioracyi rolnych
i inżynieryi rolniczej

Warszawa, Foksal Nr. 14. Kraków, Grabowskiego Nr. 10.

Biuro uprawnione przez Dyrekcyę Główną Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego do wykonywania wszelkich robót melioracyjnych, prowadzonych przy pomocy pożyczek Towarzystwa.

Osuszanie. Drenowanie. Nawadnianie. Melioracye torfowisk. Poprawa łąk przesuszonych. Gospodarstwa rybne Regulacya rzek i potoków. Wyzyskanie siły wodnej do celów przemysłowo-rolniczych. Wodociągi gospodarcze i domowe. Budowa dróg i kolejek. Budowa jazów, szluz i mostów. Budowa dworów i zabudowań folwarcznych. Osuszanie zawilgoconych domów i wilgotnych terenów budowlanych. Analiza gleby.

Inżynier Stanisław Turczynowicz
wykładający melioracye rolne w Uniwersytecie Krakowskim

Inżynier Antoni Ponikowski
b. inżynier przy biurze melioracyjnym Wydziału Krajowego w Galicyi. 26

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego"
(Nowy-Swiat 35).

Nad Nilem Niebieskim

przez

Jana Sztolcmana,

z ilustracyami

Józefa Rapackiego.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu Józefa hr. Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy, która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom, krainie.

Wydanie ozdobne, z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

„Prenumeratorowie Łowca Polskiego" mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Nowy-Świat 35) po **4** rub.

„Kalendarz leśny"

NAKŁADEM

hr. Jana Zamoyskiego

wadawnictwo

Polskiego Biura Leśnego w Warszawie

wyjdzie w styczniu 1908 r. * * * * * * * **Cena 1 rb.**

Zamówienia przyjmuje „Polskie Biuro Leśne" Żórawia 22. Telef 90-90. 34

Leśniczy

żon. w śred. wieku z praktyką królewskich lasów, posiadający bardzo dobrą 4-letnią samodzielną praktykę, znający się na urządzeniu wielkich polowań, zajmujący obecnie posadę na Śląsku, poszukuje miejsca w Królestwie lub Rosyi zaraz lub później, jako leśniczy, kontroler leśny lub kasyer. — Zgłoszenia przyjmuje Leśniczy (Förster) im. Rittergut. Dalbersdorf bei Reesewitz. Schlesien Kreis Gross-Wartenberg. 35

Kupuję bitą zwierzynę

Płacę dobrze.

Chłodna 39, m. 5. 32

JEST DO WYDZIERŻAWIENIA

PRAWO POLOWANIA

od 1 marca 1908 roku, na przestrzeni 150 włók. O warunki dzierżawy proszę się zgłosić: Administrator Psarski poczta Nowo-Radomsk w Kodrębie.

LEŚNIK

kawaler, lat 35, posiadający kilkunastoletnią praktykę, obznajmiony gruntownie z prowadzeniem kultur i szkółek, tresurą psów, prowadzeniem polowań i technicznemi czynnościami, poszukuje posady leśniczego samodzielnego lub nadleśnego.

Oferty w Redakcyi „Łowca Polskiego" Nowy-Świat 35, pod lit. **R. G.** 33

Kantor Redakcyi i Administracyi

„ŁOWCA POLSKIEGO"

przeniesiony został

NA UL. NOWY-SWIAT Nr. 35

(Kancelarya Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa)

i otwarty jest codziennie od godz. 10-ej rano do 4-ej popołudniu.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.